

Finał tej transakcji był jednak dla krętaczy opłakany. Dowiedziono, że na piłkarstwie RFN żerują głównie prezesi klubów. Wszystkich przyłapanych na przekupstwie działaczy i piłkarzy przykładowo ukarano. Mocno nagłośniła to cała piłkarska Europa. Czy ta „berlińska afera” oczyściła futbol z korupcji? Niezupełnie. Tylko na jakiś czas potencjalni przestępcy w różnych krajach nieco pofolgowali. Cisza przed kolejnymi burzami, tam na Zachodzie i u nas w kraju. Szeroko rozpisywała się o tym również nasza prasa. Niestety, służby mające wykrywać i karać przestępców, przymykały na to oczy. Teraz może będzie inaczej, ale pewności wciąż nie ma.

Historia jest nauczycielką życia, bardziej obeznani z kulturą ducha, twierdzą nawet, że jest teatrem, w którym gra się różne kostiumowe sztuki, a z czasem z szaf (właśnie historii) wyciąga tylko te szaty, w których nam lepiej do twarzy. Jeśli to jest prawdą i rzeczywiście ludzie obojętnie jakiego stanu i profesji tak widzą nasze dzieje i potrafią z tego wyciągnąć wnioski korzystne wyłącznie dla siebie, egoistyczne – to błędzić nadal będziemy i wcale nie stanemy się lepsi i uczciwsi. W XXI wieku mamy coraz więcej błędzących. Nawet w Organizacji Narodów Zjednoczonych pojawiają się przestępcy, przekupni urzędnicy i politycy powiązani z biznesem. Wykryto to w czasie realizacji w Iraku programu „**Ropa za żywność**”. To nie były centy, to były setki tysięcy dolarów.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że coraz wyraźniej bakcyle korupcji wdzierają się do sportu, w tym również do piłkarstwa. Przestało być oazą „czystej gry” i dżentelmeńskich postaw. Ludzi prawych i bezinteresownych traktuje się dziś jak frajerów. W roku 2005, niemal już tradycyjnie, najgłośniej było o wynaturzeniach w futbolu włoskim i brazylijskim, a także – ku powszechnemu zaskoczeniu – w fińskim i znowu niemieckim. Świat piłkarski nie jest bierny, zwalcza tę zarazę. W Berlinie odbył się pokazowy proces byłego sędziego piłkarskiego oraz

kilku jego najbliższych kompanów. Wyrządzone przez nich szkody przy manipulowaniu wynikami I i II Bundesligi szacuje się na dwa miliony Euro. U nas tak wysokich sum w tej niecznej grze nie ma, ale to mała pociecha. Każda łapówka jest przestępstwem, a sprawcy korupcji muszą być ukarani.

Oczekiwano, że znaczną część brudów, jakie osiadły na krajowym futbolu, uda się usunąć na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu PZPN. Do hotelu Sheraton w Warszawie głównie w tej sprawie zwołano w grudniu 2005 roku znowu grubo ponad stu delegatów, cały zarząd i prezydium Związku, wybraną grupkę dziennikarzy oraz skąpą reprezentację działaczy spoza piłki nożnej. Ministra sportu nie było, a ci, którzy przemawiali w jego imieniu, podobnie jak przedstawiciel FIFA – zebranych niczym nie zaimponowali. Brakowało ikry w przydługich oracjach i szczerzej chęci porwania byka za rogi. Zdegustowanych delegatów dopiero mocno naelektryzowany Piotr Nurowski, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego nieco ożywił. Mówił głośno, z przytupem i na temat.

Byli też na tym Nadzwyczajnym Zgromadzeniu Członkowie Honorowi PZPN, a wśród nich i ja – niegdyś persona grata. Teraz długo szukałem swojego miejsca na sali. Naiwnie liczyłem, zresztą zgodnie z wieloletnią tradycją, że starsi panowie również na tym zlocie będą mile widziani, ergo – ulokowani nieco bliżej pańskiego stołu! Podobne rozterki przeżywali: Leszek Rylski, Edmund Zientara, Ryszard Kulesza, Leszek Jezierski i inni. Posadzili mnie obok siebie i dowcipkowali:

– No, tym razem jeszcze nie wypchnęli nas poza salę obrad – zauważył łódzki „Napoleon” – ale na następnym Zjeździe mamy to jak w banku. Nasz czas już minął... Tak to panowie z prezydium ocenili...

– W dzisiejszych czasach uznanie i szacunek dla starych pierdzieli nie są poprawne politycznie – usiłował usprawiedliwić organizatorów Edmund Zientara.

– Cieszymy się, że w ogóle jeszcze o nas pamiętają – podchwycił wywód „Andrzeja” Leszek Rylski. Ale zaraz z nieukrywanym żalem w głosie zauważył: – Nie wykluczone, że na kolejnym Zjeździe zbędna będzie troska o miejsca nawet za drzwiami tej sali. Spotkamy się na... Powązkach.

– Ja się tam jeszcze nie wybieram! – jak zawsze z uśmiechem na ustach zaprotestował Rysio Kulesza.

Niestety, kolejnego Zjazdu nie doczekał. Odszedł także do „lepszego świata” – Leszek Jezierski.

Każdy na swój sposób odbierał w sumie zadziwiająco spokojną atmosferę na tym Zgromadzeniu. Można było odnieść wrażenie, że znaczna część delegatów zjawiała się w Warszawie z dużo wcześniej opracowanym scenariuszem. Nie będzie dintojry! Nawet Jan Tomaszewski, zamiast wytoczyć Przeszonym Przeciwno Nam najcięższe działa, co robił i robi od dawna, nagle zmiękł, przycichł. Zachował się jak średniowieczny Jan Bez Ziemi, który pod naciskiem możliwych ówczesnego świata podpisał Magna Charta Libertatum czyli Wielką Kartę Swobód. „Pan Janek” zaproponował mianowicie abolicję, to znaczy umorzenie postępowania karnego wobec piłkarskich przestępców. Cichy pomruk sali skwitował tę kolejną panatomkową rewelację.

Czy Jan Tomaszewski jest człowiekiem odważnym? Jednoznacznie nie da się na to odpowiedzieć. Wszak z jednej strony – co mu się chwali – nie bał się wrzucić kij w futbolowe mrowisko, ale z drugiej – co trzeba zganić – na mównicy w Sheratonie zachował się, jak typowy konformista. Nie wystąpił do delegatów z otwartą przyłbicą, kamuflował przed nimi swoje racje i prawdziwe oblicze. Sprzyjał środowisku? Dopiero w kuluarach grzmiał:

... „Oni z nas zwyczajnie zakpili. Miał to być zjazd w sprawie korupcji, a zrobiono z tego pokaz propagandy sukcesu. Nie ma jednak ucieczki przed zarządkiem komisarycznym. Ci panowie mogą sobie już zaśpiewać: – „Bój to był nasz ostatni”...

Burzyciel „ostatniego bastionu komuny” (taką dla odmiany w grudniu 2005 roku przypiął łatkę PZPN-owi), kiedy stanął na mównicy, tak bojowy jednak nie był. Celnie zauważył więc jeden z dziennikarzy: – *„Tomaszewski najodważniejszy był tylko w kuluarach, podczas telewizyjnych wywiadów”*, a inny jeszcze trafniej wyłożył kawę na ławę: – ... *„Gdy doszło do powiedzenia czegoś publicznie, wszyscy tchórzliwie trzęśli portkami przed gniewem prezesa Michała Listkiewicza”*.

W tym momencie, jak w jakimś złym śnie, pojawił mi się przed oczami Piotr Dziurawicz. Nie było go w Sheratonie. A gdyby był, jak by się zachował? Czy tak samo jak Tomaszewski i poparłby abolicję? Z nieobecności młodego „Magnata” na tym Nadzwyczajnym Zgromadzeniu PZPN uknuto intrygę i znowu rolę negatywnego bohatera przypisano Listkiewiczowi. To on zatrzasnął przed Dziurawiczem wrota do Sheratonu! A to gówna prawda... Aczkolwiek eksprezes GKS-u Katowice nie miał mandatu delegata, bo w tej sytuacji nie mógł mieć, to jednak zaproszenie na Zjazd otrzymał. Postąpił – w moim odczuciu – jeszcze śmieszniej, niż Tomaszewski. Ten też nie był delegatem żadnego klubu, mimo to dopuszczono go do głosu i wysłuchano zaskakująco łagodnej rozprawy z przestępcami. Zarezerwowano też miejsce na mównicy dla Dziurawicza. Nie skorzystał z tej możliwości. Dlaczego? Czy musiałby postąpić tak samo jak przewodniczący Komisji Etyki?

Targają mną mieszane uczucia: bał się Dziurawicz konfrontacji z delegatami i potępienia ze strony tych, którym nieco na wyrost zarzucił korupcję, czy też uznał, że całe to towarzystwo, tak jak ci przyłapani pod Kielcami, warte jest tych samych brudnych pieniędzy i nie ma już sensu z nimi rozmawiać. W każdym razie szansę publicznego zaprezentowania swoich łapówkarskich doświadczeń i naświetlenia mechanizmów przestępczych zakorzenionych w naszej lidze – zaprzepaścił. Mógł też być inny motyw rezygnacji z przyjazdu do Warszawy.

Porządek Zgromadzenia i sposób prowadzenia obrad (przewodniczył sam prezes Listkiewicz) był tak sprytnie przygotowany, a atmosfera na sali tak pojednawcza, że najmniejszy zgrzyt w tym swojskim nastroju, zostałby przyjęty jako obraza boska.

Starły się jednak, bo było to nieuniknione, dwa spojrzenia na tegoroczną (i nie tylko!) sytuację w naszej lidze i w piłkarskiej centrali. Podczas gdy „wykrywacze deformacji” bili na alarm, domagali się „uzdrowicielskich” działań w klubach, rezygnacji zarządu i prezesa PZPN oraz nowych wyborów, to osoby przez nich atakowane, fakt – dość często bezpodstawnie, ani myślały o rezygnacji z zajmowanych stanowisk. Myślę, że najdokładniej ukazują te jaskrawe różnice oświadczenia, dziś chyba dwóch największych antagonistów – Piotra Dziurawicza i Michała Listkiewicza.

Pierwszy podtrzymuje swoje oskarżenia, co więcej – twierdzi, że odsłonił zaledwie 10 procent prawdy o piłkarskiej mafii i pewny swoich racji dodaje: – „Układy się nie zmieniły, tylko cena za ustalanie meczów znacznie wzrosła”. W tym samym czasie drugi – jak sugeruje dziennik „Fakt”: – „Jest mistrzem pozorów. Kiedy wybuchła afera korupcyjna w polskiej piłce, twierdził, że to pojedyncze wypadki. Teraz uważa, że problem został rozwiązany, choć ligowy handel kwitnie, a prokurator wyciąga nowe sprawy”. Jest to ta sama linia postępowania (i przekonania), którą wybrał i nadal kroczy Jan Tomaszewski. Nie ustaje w powielaniu opinii, że rządy w PZPN-ie musi przejąć komisarz. I z pełnym przekonaniem nieskromnie dodaje, że właśnie on jest tu najlepszym kandydatem. Za głównego winowajcę niskich notowań PZPN-u uważa teraz Eugeniusza Kolatora. Powinien odejść! Takie pomysły wiceprezes odważnie ripostuje: – *Honorowo to może odejść ze struktur Jan Tomaszewski, a nie ja...*

Rządy komisarzy nie są nowością w polskim piłkarstwie. Różne tylko były ich formy, łagodne i represyjne, potrzebne i nieuzasadnione, ale niemal zawsze

w ostatecznym rozrachunku – szkodliwe, choć pomyślane jako sanacyjne. Niewątpliwie najdłużej trwały i najbardziej dały się we znaki krajowej piłce nożnej w czasach stalinowskiego zniewolenia. Bo czymże innym, jeśli nie „rządami komisarzy”, nazwać trzeba lata 1950 – 1956, kiedy to nadzór nad całym naszym futbolem mieli naczelnicy z Głównego Komitetu Kultury Fizycznej? Wtedy jeszcze nie kaperownictwo i korupcja groziły „odosobnieniem”. Szkodliwsze były priorytety. Wystarczyło, że człowiek piłki miał inne poglądy polityczne, „złe” pochodzenie społeczne i walczył o inny kształt Polski, o demokrację, a nie dyktaturę, a już był za burtą PZPN i wymarzonym kandydatem na zsyłkę w krainę wiecznych śniegów i białych niedźwiedzi.

Po roku 1956 w piłkarskiej centrali i związkach okręgowych też zdarzały się „rządy komisarzy”. Nawet Warszawa nie ustrzegła się tej formy sprawowania władzy, ale nie były to zjawiska już tak powszechne i wszechogarniające. Sport, teoretycznie wolny od obciążeń stricte politycznych, niechętnie przyswaja nadmierne ingerencje z zewnątrz. Taka jego uroda. Nawet w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, a więc już w Trzeciej Rzeczypospolitej, gdy kurator wdarł się do siedziby PZPN, potępienie było dość powszechne. O, przepraszam, ten sportowy desant z ulicy Świętokrzyskiej w Aleje Ujazdowskie, z prawdziwą ulgą i zadowoleniem przyjął właśnie Jan Tomaszewski. Zacierał ręce z radości, że wreszcie ktoś zechciał „czyścić” ten obrzydliwy Dziuroland. Profity miał z tego niewielkie, wciąż tylko błąkał się po „obrzeźkach zjawisk”, ale poczuł „wiatr w żagle” i nadal haftował anty-pezetpeenowską intrygę. Teraz – już z pomocą rodzimych prokuratorów oraz iluzorycznym wsparciem zagranicznych obrońców praw – coraz mocniej drąży skałę.

Nie sądzę jednak, by zagrażało naszemu futbolowi kolejne upodlenie, zmiana szyldu PZPN na jakiś inny skrót językowy względnie przejęcie w nim

rządów przez „okazjonalnych rewolucjonistów”, w niedawnej przeszłości nazywanych „polskimi hunwejbunami”, a teraz dość przewrotnie „krzewicielami norm etycznych”. To wszystko już było, poza koniecznością ukarania winnych. Wiele hałasu o nic narobiono już w Polskim Związku Narciarskim. Kurator został nowym prezesem. Czy równie wysoko sięgają ambicje „komisarza” Tomaszewskiego? Na razie jest niewielka nadzieja, że jednak (wreszcie!) ludzi szpecących wizerunek naszego futbolu kara nie ominie. Mocno trzyma cugle w tej sprawie wrocławska prokuratura. Na razie łapie same płotki, być może wkrótce zaczną też łowić finansowych rekinów. A co z Tomaszewskim? Sądzę, że w pełni obiektywną wykładnię „czyszczenia” przez niego piłkarskiego środowiska dała „Gazeta Wyborcza” w publikacji pt. **„Samobójstwo Komisji Etyki”**:

... „Działalność Jana Tomaszewskiego – nie bez podstaw twierdzą redaktorzy Jarosław Bińczyk i Jacek Sarzyło – graniczy z obsesją... (zastanawiałbym się czy już nie ze schizofrenią – przyp. autora), ale z drugiej strony projekt powołania Komisji Etyki przy PZPN od początku nie miał wartości większej niż papier, na którym go spisano. A teraz po prostu znalazł się w koszu”.

I dalej: ... „Tomaszewski zapowiada, że nie zrezygnuje z walki. Nie deprymuje go słowa wiceprezesa Kolatora, który zapytany przez telewizję, co może zrobić UEFA, kiedy Tomaszewski zasypie ją skargami na Związek, odrzekł: – Jak to co? Odeśle skargi do PZPN”. To jakiś wybryk natury! Bo akurat w tym samym czasie, kiedy „pan Tomek” nieustannie dymisjonował prezesa Listkiewicza, ten z siedziby władz światowego piłkarstwa – obok prezydenta UEFA Lennarta Johanssona – otrzymał nominację na członka grupy roboczej do spraw politycznych FIFA. No to pojawiły się złośliwe komentarze: – Kruk krukowi oka nie wykole...

KODEKS PROFESORA LIPCA

Głównym osiągnięciem Komisji Etyki jest opracowany przez profesora Józefa Lipca „**Piłkarski Kodeks Wartości**”. To małe dzieło głosi prawdy oczywiste, znane zresztą od dawna. Dobrze, że je właśnie teraz profesor przypomina, aczkolwiek zapewne sam zdaje sobie z tego sprawę, że zawarte tam wzniosłe idee moralne w niewielkim stopniu przystają do piłkarskiej współczesności. Autor przypomina między innymi, że „**Gra musi być uczciwa, jeśli ma być grą sportową...** Uczciwość obowiązuje zarówno samych piłkarzy, jak i trenerów, lekarzy, sponsorów oraz działaczy... Wymóg bezwzględnej, podatnej na matactwa i przekupstwa prawości dotyczy w szczególności arbitrów, zobowiązanych do ferowania obiektywnych orzeczeń i dawania zawsze jednoznacznego przykładu zawodnikom i widzom”.

Po zapoznaniu się z taką deklaracją zapewne już sto lat temu biłby brawo sam baron Pierre de Coubertin. Jednak dziś, kiedy futbol coraz rzadziej uważa się za „grę sportową”, natomiast coraz częściej za „grę interesu”, zaś społecznych działaczy zastępuje się armią urzędników nie zawsze przyzwoitej konduity i łasych na walutę menedżerów, to norm sportowych, o których mówi „Piłkarski Kodeks Wartości”, już rzadko kto przestrzega. Pielęgnuje się inne wartości. Za „dziwaków” uważa się tych, co płyną pod ten nasilający się prąd. Rezygnować jednak nie wolno!

Rację ma również Józef Lipiec, gdy pisze, że „Wychowawców i trenerów, jak również publiczność i dziennikarzy obowiązuje stosowanie jednakowych kryteriów i sprawiedliwe oceny występów... Należy pamiętać o realizacji wartości tworzonych przez tradycję i szanowanych przez publiczność”. To również są reguły i prawdy oczywiste i ponadczasowe. Dodałbym do tego, że tak samo cenne jak fachowość i partnerstwo w ich tworzeniu i głoszeniu. Niestety, dzisiejsza

„czwarta władza” od czasu do czasu o tym zapomina. Talent i los dał dziennikarzowi możliwość niczym nieskrępowanego opisywania piłkarskiej rzeczywistości. Ale nie fałszowania! Tego wymaga zarówno tradycja, jak i filozofia wykonywanego zawodu.

Przyklasnąć więc trzeba autorowi „Piłkarskiego Kodeksu Wartości”, kiedy apeluje o kulturę i honor sportowy, godność osobistą, wierność ideałom i odpowiedzialność w działaniu: – „Etos piłkarstwa – podkreśla Józef Lipiec – to także aktywność w demonstrowaniu i zwalczaniu prób korupcji i innych form psucia obrazu sportu... Piłka nożna, która może i powinna tworzyć wartości pozytywne, radość i piękno musi zawsze – od święta i na co dzień – dbać o swój prawdziwie sportowy wizerunek”. Zgoda absolutna! Ale jak to osiągnąć? Jednostka nawet najwybitniejsza będzie tu bezradna, jeśli nie znajdzie wsparcia w zbiorowym wysiłku ogółu miłośników futbolu i ludzi odpowiedzialnych za pracę w klubach, okręgach, związkach wojewódzkich i w centrali z ulicy Miodowej w Warszawie. Słowem – dbałość o dobre imię polskiego piłkarstwa, tak w kraju jak i poza jego granicami jest obowiązkiem nas wszystkich. Szumny frazes?

Takie widzenie futbolu i ludzi z nim związanych było nam potrzebne już przed pół wiekiem, kiedy zerwano tej pięknej dyscyplinie generalskie szlify i zdegradowano do rangi sportu czwartej kategorii. Zlikwidowano PZPN i jego ogniw terenowe, kluby zastąpiono kołami i faktyczną nad nimi władzę przekazano pionom i zrzeszeniom quasisportowym. W iście sprinterskim tempie usiłowało wykreślić z naszej pamięci historyczne nazwy. Nie było siły, żeby te polityczne szaleństwa powstrzymać. Dopiero po październiku 1956 roku te najgłupsze obce wzory przestały obowiązywać.

Łudzono się, że już nikt nigdy nie splami klubowych sztandarów. Różnie bywało. To jakieś fatum. Nawet teraz, po upływie pół wieku od tego zniewole-

nia, nie wszędzie wierność tradycji jest zachowana. Zwłaszcza w pierwszej fazie ustrojowej transformacji profanowano nazwy niektórych klubów. O ile jednak w siermiężnej przeszłości w grę wchodziły niemal wyłącznie elementy doktrynalne, o tyle teraz w tej przykrej sprawie przeważają czynniki merkantylno-komercyjne. Kurczowe trzymanie się ciasnych formuł ideologicznych zastąpiono kultem pieniądza. Stąd znowu pojawiły się rażące kibiców nazwy klubów, takie typowe klubowe hybrydy.

Nie był to pęd powszechny, ale łatwy do rozszyfrowania. Kluby mające największe kłopoty finansowe w możliwych sponsorach poszukiwały takich właśnie dróg wyjścia z kryzysu. I tak na przykład zrodziły się „Legia – Dawoo” Warszawa oraz „ŁKS-Ptak” Łódź i „GKS Dospel” Katowice. Najdłużej tradycyjną nazwą klubu żonglowano w Płocku. Najpierw oczywiście była Wisła, ale zaraz potem Petrochemia, Petro i Orlen. Do końca jednak nie ztratono tam zdrowego rozsądku i wraz z awansem piłkarzy do ekstraklasy przywrócono klubowi swojsko i dostojnie brzmiące imię. Teraz już spokojnie płynie Wisła swym starym historycznym korytem i jeśli komuś znowu nie pomiesza się w głowach, być może wybiję się na godną rywalkę swej pół wieku starszej imienniczki z Krakowa.

Obok klubowych nazw – hybryd pojawiły się również sportowe efemerydy: „Miliarder” Pniewy, „Sokół” Tychy, Pegrotour-Igloopol Dębica, Lechia – Olimpia Gdańsk, itp. Przed wojną przyzakładowe kluby też pchały na afisz swoich dobrodziejów, ale z czasem niektóre z nich uszły z pola widzenia. Ten sam los spotkał ich współczesnych naśladowców. Ostatnio indywidualistów tak ochotnie manipulujących nazwami klubów w lidze już prawie nie ma; w zamian cała ta niezbyt udana zabawa przybrała formę zbiorową. Koncentracja kapitału? To się okaże, na razie faktem jest, że już finisz rundy jesiennej 2005 cała liga firmowała swój produkt pod typowo elitarnym wyzwaniem „Orange Ekstraklasa S.A.”.

Jak w tej sytuacji poradzą sobie mocne dotychczas pojedyncze podmioty biznesowo-sportowe Amica Wronki i Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski? Aura dla klubów o dużych ambicjach w małych miastach powoli przestała być przychylna. Amica w porę to dostrzegła i przeniosła swoje sympatie na Lecha Poznań. Dobry ruch – stolica Wielkopolski potrzebuje wielkiego i mocnego klubu. Ale średnie i małe też są tam potrzebne. Niczego nie likwidować! Mówił chłop do obrazu? Groclin z Grodziska sprzedano Warszawie.

Od tych koniunkturalnych dziwactw na szczęście dalekie są dwa nasze piłkarsko najsilniejsze kluby, Wisła Kraków i Legia Warszawa. Ich właściciele – jak to się dziś wzniośle podkreśla – również strategiczni sponsorzy, dalecy są od tych małomiasteczkowych manier. Ani pan Bogusław Cupiał, choć ma mnóstwo innych słabości, nie wpisuje swojej firmy i nazwiska w stuletnią historię Wisły, ani też Mariusz Walter z ITI nie podważa praw klubu z Łazienkowskiej do trwającej już dziewięćdziesiąt lat legionowej tradycji. Legii wyzwolonej spod koreańskiej dominacji i obaw z okresu niezbyt hojnych następców, nie przygniatają już wielomilionowe długi i anse kibiców. Buduje zespół na miarę swych najlepszych lat.

Dewiacji organizacyjno-szkoleniowych w naszej lidze jednak nie brakuje. Prym w próbach odkrywania nowych dróg, myślę, że również z chęci prezentowania swej niezwyklej szczodroblowości... na pokaz, wiedzie chorobliwie ambitny Antoni Ptak. Wprawdzie po złych doświadczeniach w ŁKS-ie już się nie kwapi do uskrzydlenia logo „Pogoni” własnym nazwiskiem, ale żyłki poszukiwacza przygód, niczym pozytywistyczny „Pan Balcer w Brazylii” i cudacznych rozwiązań plantatorskich jeszcze się nie wyleczył. Kiedyś już szkolił młodych Brazylijczyków w centrum swego imperium handlowego pod Łodzią. Wyniki miał kiepskie. Zamierza więc podążać w odwrotnym kierunku, zlecając wykonanie swoich baśniowych pomysłów synowi o biblijnym imie-

niu Dawid. Junior Ptak, być może dobrze obeznany z niezwykłym wyczynem swojego chuderlawego protoplasty w zwycięskiej walce z potężnym Goliatem, jest gotów stawić czoła każdemu wyzwaniu losu. Senior o tym marzy. Mają panowie pieniądze, więc mogą pędzić żywot dziewiętnastowiecznych podróżników i filantropów.

Młodszy Ptak będzie więc szkolił synów „kraju kawy” w ich własnym domu, natomiast Ptak starszy przeniesie ich ojców do Szczecina. Stamtąd poprowadzą klub byłych „portowców” do Ligi Mistrzów. Ryzykowna decyzja i kruche nadzieje, ale jak mawiał niepowtarzalny Kazimierz Górski, tylko poprzez eksperyment i przeżyte własne doświadczenia dobre lub złe, można dokonać rzeczy wielkich lub stoczyć się w przepaść. Konsekwencje bywają więc różne. W pomysłach panów Ptaków kryje się posłanie piłkarzy krajowego chowu na zieloną trawkę, na sprzedaż lub w najlepszym wypadku na ławkę rezerwowych. Być może źle odbieram te intencje, a moja wyobraźnia nie sięga szczytów intelektu „szczecińskich odkrywców”, ale coś mi podpowiada, że zgodnie z teorią prawdopodobieństwa mogą doprowadzić do „piłkarskiego perpetuum mobile”.

Poszukiwaczy nowych dróg w rozwoju naszego futbolu jest nad Wisłą, Wartą i Odrą znacznie więcej. Łączy ich nie tyle miłość do piłki nożnej, ile chwilowy kaprys względnie chęć pomnożenia już posiadanego kapitału. To też są przedsięwzięcia ryzykowne. Eksperymenty rodziny Ptaków przekraczają jednak wszelkie granice racjonalnego myślenia. Nic więc dziwnego, że bywają chybotliwe. Nie wypalił projekt zaangażowania kibiców w formy premiowania zawodników, a także powołanie „klubowego triumwiratu”: Baniak – Malura – Ptak (junior) i powierzeniu mu całej gamy spraw selekcyjno-szkoleniowych z taktyką gry włącznie.

Stwierdziłem wówczas publicznie, że to się źle kojarzy i zapewne źle się skończy. Już w starożytnym Rzymie takie „porozumienie” trzech wielkich mężów

stanu doprowadziło do zbrojnej walki o władzę. W Szczecinie nie doszło do rozlewu krwi, bo Ptak senior nadzorujący ten „trójosobowy trust mózgów”, w porę się połapał, że to jakaś szkoleniowa paranoja i rozpuścił towarzystwo. Ciekawe, czy podobny los spotka wręcz obsesyjną wiarę w tę „brazylijską Pogoń”. Nowy trener tej drużyny, oczywiście też z Sao Paulo, niemłody już Jose Serrao też po brzękiwał szabelką: – Pokażemy na czym polega futbol... Robimy coś wyjątkowego, coś – czego dotychczas nikt jeszcze na świecie nie zrobił... A właściciel „Pogoni” dodaje niezbyt giętkim językiem:

„Sprowadzenie Brazylijczyków powinno sprawić, że nasza klubowa piłka zniweluje dystans do zespołów zachodniej Europy”.

Wszystko, co nowe, rodzi się w bólach i... budzi podejrzenia. Poznałem takich „futbolowych planistów” już przed pół wiekiem. Zza biurka zapowiedzieli wówczas rychłe dogonienie najlepszych w tej grze – Węgrów. Na mistrzostwach świata w Szwajcarii pokonali Brazylię 4:2. Teraz niedoścignionymi mistrzami są jednak „caraninhos”. Trenerom węgierskim, których wtedy sprowadzono do Polski, nie udało się „zniwelować dystansu”, choć ambicje mieli ogromne. Równie buńczucznie wypowiadał się egzotyczny szkoleniowiec zdeorientowanych „portowców”. Pogoń w Lidze Mistrzów? Powodzenia. Jednak obok narzucających się wątpliwości i zastrzeżeń nie wolno pominąć prawdy szczególnie bolesnej: – **„Nie będzie to już „nasza” Pogoń!”**.

Niby to trend ogólnoeuropejski trudny do powstrzymania, ale już pojawiają się głosy, że prowadzi donikąd. Czyżby zbliżał się kres tego szaleństwa? Nawet liberalny prezydent FIFA, Sepp Blatter ma dość Abramowów i jemu podobnych. Wkroczy z urzędu? Ostatnio dał dużo mówiący sygnał pomawiając Unię Europejską o „piłkarski imperializm”. Wystąpi w roli obrońcy tradycyjnych wartości i przywróci należną rangę federacjom narodowym i wysoki poziom ich rodzimym drużynom klubowym? To szerszy problem. Należy go postrzegać w kate-

gorii „**jest to jeszcze piłka nożna czy już wyłącznie futbolowy biznes?**”. Jestem za poszanowaniem dziedzictwa narodowego. Na progu XXI wieku pojawiają się jednak pomysły, o których przed pół wiekiem jeszcze nikomu się nie śniło. Zbyć tego milczeniem, nie wypada, trzeba głośno zapytać: – Przyznać rację „brazylijskiej” Pogoni czy na przykład „krajowej” Odrze Wodzisław? Co na to prezes Michał Listkiewicz i przywódca spółki Orange Ekstraklasa S.A. Andrzej Rusko? Ja to widzę w barwach mocno zbliżonych do następstw korupcji.

Barier dla klasowych obcokrajowców stawiać nie trzeba, bo ani Listkiewicz ani Rusko nikt nie chce być Donkiszotem i nie zamierza „walczyć z wiatrakami”, ale... Namawiałbym obu do obrony naszej ligi przed nieprzemyślanym odpływem rodzimych talentów i zalewem zagranicznej miernoty. Tu jakaś w miarę skuteczna tama jest potrzebna! Co, że właściciele klubów poczują się dotknięci? Nie była by to patriotyczna postawa. A przecież ludzie bogaci też lubią dobre widowiska, wysoko cenią wybitnych piłkarzy, ale nade wszystko kochają reprezentację. Stawiam na prezesa Rusko i jego wyborcze obietnice. Wszak publicznie zapewnił wątpiących, że „*w futbolu też mu się powiedzie...*” Ufam, że ma na myśli nasz futbol, polski futbol... Zapewne będzie chuchał i dmuchał głównie na ligę, jednak powinna tu być na pierwszym planie również dbałość o krajowe zaplecze i znaczącą pozycję w świecie drużyny narodowej.

Czy dziennikarze powinni sprawować znaczące funkcje w ruchu sportowym? W latach pionierskich polskiego piłkarstwa takie pytanie było by nie na miejscu i mogło by zrodzić ironiczny uśmiech na twarzach zainteresowanych. Kroniki naszego futbolu przecież nie kłamią; w wielu klubach, okręgowych związkach sportowych i piłkarskiej centrali ludzie pióra odgrywali istotne role. Byli tam autentycznymi współtwórcami podstaw polskiego sportu, jego struktur, regulaminów i programów działania. Dziś jakiś historyk, lubujący się w „dzia-

łaniach śledczych”, mógłby spojrzeć na to z pogardą i złośliwie zapytać: – Czy potem również sami swoją pracę recenzowali? Odpowiadam: utrzymywali niezbędny dystans...

Wtedy prasa nie uzurpowała sobie praw „czwartej władzy”. Skupiała się przede wszystkim na tworzeniu, a nie burzeniu, była bezinteresownym partnerem działaczy dosłownie w każdej dyscyplinie sportu. Miłośnicy piłkarstwa robili to ze zdwojoną energią i z ogromną pasją. W Krakowie byli to przede wszystkim Józef Lustgarten i Tadeusz Synowiec, a w Warszawie bracia Jerzy i Tadeusz Grabowski oraz Marian Strzelecki. Łączyła ich znajomość piłki nożnej „od podszewki”, z boisk krajowych i zagranicznych. Każdy z nich był znanym, często też wybitnym zawodnikiem, mistrzem Polski, reprezentantem, a także nieustrudzonym propagatorem idei futbolu. Najdalej tą dobrowolnie wybraną drogą doszli Tadeusz Synowiec i Marian Strzelecki. Obaj byli filarami dawnego „Przeglądu Sportowego”. Bracia Grabowscy to też znani dziennikarze i byli wiceprezysi PZPN, a Synowiec – w połowie lat dwudziestych wysoko ceniony selekcjoner.

Tej rangi dziennikarzy, a zarazem wybitnych działaczy miała nasza piłka nożna dużo, dużo więcej. Doktor Stanisław Mielech prawnik z wykształcenia, ale publicysta „Życia Warszawy” z wyboru, autor kilku nowatorskich książek o tematyce piłkarskiej był w roku 1916 jednym z ojców – założycieli „Legii” Warszawa, a trzydzieści lat później pierwszym wiceprezesem odrodzonego PZPN. Wkrótce w jego ślady z równym powodzeniem poszli Tadeusz Maliszewski, też były redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego”, a także koryfeusze piłkarskiej żurnalistyki – Mieczysław Szymkowiak i Grzegorz Aleksandrowicz. Jestem jednym z wychowanków „pana Grzegorza”. To właśnie on nauczył mnie dostrzegać w futbolu głównie piękno, duże wartości społeczne i estetyczne, wskazał również ścieżki, jakimi powinienem kroczyć w zawodzie, aby zyskać uznanie ludzi kom-

petentnych, prawych i bezinteresownie działających w naszej ukochanej dyscyplinie sportu. W testamencie zapisał mi cały swój dorobek twórczy i przebogata dokumentację prasową.

Później tak bliscy w pracy i humanistycznym spojrzeniu na sport, zwłaszcza na piłkę nożną, byli mi tylko redaktorzy właśnie wszechstronny Mieczysław Szymkowiak i utalentowany organizator Stefan Grzegorzycyk. Miecio był najpierw wiceprezesem PZPN i selekcjonerem, a potem zawodowo dość długo pracował w „Sporcie” Katowice. Stamtąd to właśnie ja ściągnąłem go do „Piłki Nożnej”. A Stefan? Wspólnie tworzyliśmy ten tygodnik. To tuz dwóch PZPN-ów! W tym piłkarskim był członkiem prezydium, a w tym drugim czyli Polskim Związku Pięcioboju Nowoczesnego ponad ćwierć wieku był powszechnie cenionym prezesem. Ma w dorobku dziesiątki medali olimpijskich, mistrzostw świata i Europy. Kiedyś namawiałem Grzegorzycyka, by przejął ster Związku Piłkarskiego. Nie podjął rękawicy, grata dla futbolu.

Znani i wybitni niegdyś dziennikarze działali z pożytkiem i skutecznie nie tylko w piłkarstwie. Grzegorzycyk jest tu zdecydowanym liderem, ma największy staż i dorobek w sporcie wysoko kwalifikowanym. Dobrze udokumentowali w nim swój prezesowski udział Włodzimierz Gołębiewski i Edward Strzelecki w kolarstwie oraz Jacek Żemantowski i Edward Strzelecki w brydżu sportowym. Nigdy nie pełnili tak odpowiedzialnych funkcji redaktorzy Jerzy Zmarzlik, Stefan Sieniarski, Lech Cergowski, Marian Matzenauer i Zygmunt Głuszek, ale w dyscyplinach sportu, które opisywali, mają również niebagatelne osiągnięcia. Fachowcy w każdym calu i z niecodzienną wyobraźnią. Współtwórcy sukcesów w wielu dyscyplinach sportu.

W części zatytułowanej „**Futbol zniewolony**” wspomniałem już, że Grzegorz Aleksandrowicz był inicjatorem przedsięwzięcia, które do dziś cieszy się nie słabnącym zainteresowaniem kibiców. Mowa o totalizatorze piłkarskim. Dzien-

nikarze nieco młodszy od „pana Grzegorza” wykreowali kilku mistrzów olimpijskich. Zapewne nie wszyscy wiedzą, że Władysław Komar, zanim w roku 1972 w Monachium zdobył złoty medal w pchnięciu kulą, uprawiał boks. I tu wykazał niemały talent, ale znacznie mniejszą odporność na ciosy. Janek Wojdyga, redakcyjny asystent „prezesa” Zmarzlika dowodził, że Komar miał „szklaną szczękę”, taką samą jak niegdyś inny znany reprezentacyjny bokser Stanisław Gościański. „Prezes” dał więc Władkowi delikatnie do zrozumienia, żeby dał sobie spokój z tą „szlachetną walką na pięści”. Znacznie większą karierę jest w stanie zrobić w lekkiej atletyce. Komar mocno się wkurzył, ale Zmarzlik nie ustępował, powoli i skutecznie drażył skałę. Efekt? Na Olimpiadzie w Monachium, gdy Komar stał na najwyższym podium, a Zmarzlik bił brawo w łożu prasowej, obaj z równym wzruszeniem wysłuchali Mazurka Dąbrowskiego. Z ochotą przeszli wówczas na „per ty”, mimo że Jurek był starszy od Władka dokładnie o dwadzieścia lat.

A czymże to wyróżnił się Leszek Cergowski? Po Jurku Mrzygłódzie „oddziczył” w „PS” szermierkę i niektóre konkurencje narciarskie. Później też przejął kolarską pałeczkę od „profesora” Zygmunta Weissa. To dopiero była niespokojna dusza! Marzyciel. Momentami przy tej dziennikarskiej robocie, jak bohatera romantycznych dramatów Leszka ogarniał „jaskółczy lęk”: Czy się uda? Czy nie palnę jakiegoś głupstwa? Znał się na rzeczy, umiał przy tym „cierpieć za miliony” i rzadko mylił się w swoich prognozach. Po każdym sukcesie Polaka rozczulał się do łez. Patriota, któremu w więzieniu we Wronkach usiłowano obrzydzić miłość do Ojczyzny. Podczas Olimpiady 1964 w Tokio, gdzie jego cichy faworyt Egon Franke wywalczył w szpadzie złoty medal, Cergo płakał ze szczęścia jak dziecko. Wszak wywróżył Frankemu ten sukces. Po raz drugi szalał z radości w roku 1972 po triumfie Wojciecha Fortuny w Sapporo. Nawet dla niektórych „znawców” z Polskiego Związku Narciarskiego był to zwykły fuks na torze.

Ale nie dla Cergowskiego i jego przyjaciela Mariana Matzenauera z Zakopanego. Obaj – wbrew opinii „fachowców” – wręcz domagali się włączenia Fortuny do olimpijskiej ekipy. Rezultat znamy.

Zupełnie inaczej reagował na swoje sportowe wizje Stefan Sieniarski. Machał pogardliwie ręką na planistów z GKKFiT i PKOl, zgryźliwie się przy tym uśmiechał i z lubością sięgał po angielską „Wyborową”. Swoją przygodę ze sportem zaczynał w Żyrardowie od piłki nożnej, raz nawet w meczu Unia Skiernewice – Żyrardowianka graliśmy przeciwko sobie, ale „miłością największą” obdarzył lekkoatletykę. Z pełną wzajemnością! Co tu ukrywać, z jego publikacji najpierw w „Przeglądzie Sportowym”, a potem w „Sporcie” Katowice i „Życiu Warszawy” dość łatwo można było odnieść wrażenie, że wie więcej o tym sporcie, niż wszyscy działacze i niektórzy trenerzy razem wzięci. Otóż w roku 1968 przed Olimpiadą w Montrealu Stefan namówił Irenę Szewińską do startu tam w biegu na 400 metrów. Światli trenerzy to podchwycili i tak przygotowali Irenkę, że przywiozła z tych igrzysk złoty medal. Wnioski oczywiste. W tamtych czasach mieliśmy dziennikarzy na miarę talentów naszych największych sportowców. To były medialne indywidualności, prawdziwi eksperci, wizjonerzy. Dziś ludzie pióra pełnią inne funkcje. Usiłujący płynąć pod prąd lądują za redakcyjną burzą.

Mnie osobiście, zresztą nie pierwsza w dziejach „Przeglądu Sportowego” zaskoczyła i zmartwiła rewolucja kadrowa, jakiej w końcu 2003 roku dokonano w „Przeglądzie Sportowym”. Pracowałem w tym dzienniku blisko dwadzieścia lat, w różnych okresach historycznych, ale nigdy nie spotkałem się z tak druzgocącą krytyką ludzi odpowiedzialnych z w nim za dobór pracowników i panującą w redakcji atmosferę. Trudno dziś bez zastrzeżeń przyjmować słowo pisane, takie mamy czasy, przeto i w tygodniku, który doniósł te „rewelacje”, nie wszystko wydało mi się zgodne z obiektywną prawdą. Jednak włos mi się zje-

żył na głowie, gdy w tekście zatytułowanym „Ptasia grypa po polsku” przeczytałem, że „W przeglądzie Sportowym rewolucję kadrową połączono z odrzuceniem 80-letniej tradycji”.

Jak należy to rozumieć? Czy tak, że również to, co i ja przez tyle lat wraz z Aleksandrowiczem, Cergowskim, Głuszkim, Strzeleckim, Zmarzlikiem, Weissem i rówieśnikami prezentowałem na łamach „PS” należy wyrzucić na śmietnik? Kto robi tak wstrętne porządki?! Czy jest to dziś zjawisko nagminne? Nie. ... „W Katowicach naczelny „Sportu” Adam Barteczko i jego pracownicy – czytamy na tej „ptasiej grypie” – dzielnie bronią prawa do tytułu i tym samym samodzielnego decydowania o swoim losie. Natomiast pracownicy „PS” i „Tempa” są niczym pańszczyźniani chłopci skazani na widzimisię plenipotentów właściciela ze Szwajcarii... Jesienią 2003 roku pojawił się przedstawiciel wydawcy, niemiecki fachowiec... spod znaku „Bilda” i postanowił przerobić „PS” na bildowską modłę”.

Wyrzucono nie tylko redaktora naczelnego Piotra Górskiego i jego zastępcę Pawła Zarzecznego jednego z najzdolniejszych i dobrze piszących (dziennikarzy, a nie ludzi zatrudnionych w redakcjach). Znam jego zalety i wady, bo talent Pawełka krystalizował się na moich oczach w tygodniku „Piłka Nożna”. Gdy o tych zmianach dowiedział się Prezes Honorowy PZPN, Kazimierz Górski nie bez podstaw zapytał: – „no to kto będzie teraz robił ten „Przegląd”? Rychło odpowiedział na to pytanie autor „Ptasiej grypy po polsku”: ... „Faktyczną władzę sprawuje Tomasz Zięba nazywany „Playboyem”. Na ile mu pasuje, na tyle się nią dzieli z podlegającym mu Kołtoniem”.

Ten passus zdziwił mnie najbardziej, bo Romana też znam z kilkuletniej wspólnej pracy i nie bardzo wierzę, by dał sobą pomiatać lub tylko w „kaszę dmuchać”. To dobrze ułożony, ambitny i sprawny redaktor. Ale i marzyciel! Szermuje hasłem o utworzeniu z obecnego „Przeglądu Sportowego” me-

dialnego Realu Madryt. W tym składzie personalnym? Musiał się Romcio zarazie fantasmagorią niektórych chorobliwie ambitnych właścicieli naszych klubów piłkarskich i też plecie głupstwa. Jest jeszcze młody (kto w jego wieku nie chciał przenosić gór i zmieniać koryta rzeki), więc z upływem czasu dokładniej pozna prozę życia i przestanie rzucać słowa na wiatr. Życzę mu tego z całego serca, no i oczywiście niczym nie skrupowanej samodzielności. Cholera, teraz i ja fantazjuję...

Bywało, że mnie również od czasu do czasu udało się przekroczyć barierę typowo dziennikarskiej sztampy. Swego czasu trafnie, choć bez entuzjazmu, ujął to Rysio Kulesza mówiąc publicznie, że „mam w sobie coś z selekcyjnera”. Rzeczywiście, w sekcji młodzieżowej PZPN dość długo zabawiałem się w „łowcę talentów”, a w redakcji „Piłka Nożna” z powodzeniem redagowałem rubrykę **„Gdybym był selekcyjnerem”**. Potrafiłem do swoich przemyśleń przekonać nawet ówczesnych decydentów. W roku 1961, właśnie wbrew bonzom z fizkultury, skutecznie optowałem za wysłaniem reprezentacji Polski juniorów na Turniej UEFA do Portugalii. Nie mogli mnie skreślić, bo chłopcy przywieźli stamtąd srebrny medal. Kilka lat później w Brukseli przed meczem z Belgią o mistrzostwo Europy przyłożyłem niemałą cegiełkę do naszej wiktorii na Heysel (4:2). Moi faworyci, których poleciłem Michałowi Matyasowi, a ten bardzo poważnie potraktował dziennikarską sugestię, zdobyli wszystkie cztery bramki: Janusz Żmijewski (3) i Brychczy.

W trzeciej części „Świadka koronnego” dość szczegółowo opisuję „tajemnice” naszej wygranej z Peru na Mundialu w Hiszpanii. Do detali nie będę więc tu wracał, przypomnę tylko, że trener Bogusław Hajdas, doktor Janusz Garlicki i piłkarz Janusz Kupcewicz w tej niecodziennej sytuacji również potraktowali mnie jak wiarygodnego partnera.